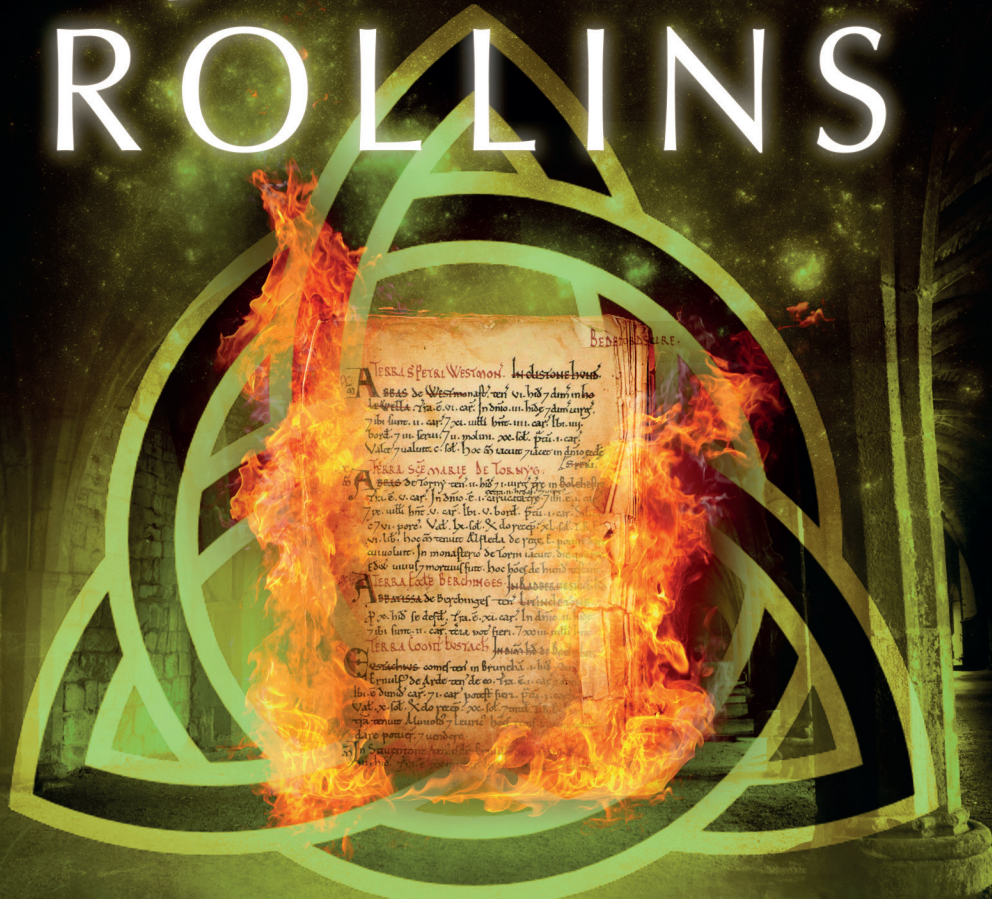


translation) project
W I L T P E E H L E E K

Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



KLUCZ
ZAGŁADY

Wiosna 1086 roku Anglia

Pierwszym znakiem były kruki.

Kiedy wóz zaczął zjeżdżać pełną kolein drogą prowadzącą między falującymi polami jęczmienia, stado kruków wleciało za nim w powietrze, tworząc czarną chmurę. Ptaki wzbiły się wysoko w błękit poranka, nie była to jednak zwykła ucieczka przestraszonej gromady. Kruki kołowały i pikowały, niektóre nagle zamierały jak postrzelone, inne wściekle łopotały skrzydłami. Wpadały jeden na drugiego i spadały jak kamienie. Małe korpusy uderzały o drogę, ptaki łamały sobie skrzydła i szyje. Podrygiwały w koleinach w drgawkach agonii, a ich skrzydła bezsilnie biły powietrze.

Najbardziej przerażająca była jednak panująca wokół cisza.

Żadnego krakania czy skrzeczenia.

Jedynie wściekle bicie skrzydłami – a potem miękkie uderzenia małych ciał o ubitą ziemię i pokruszone kamienie.

Woźnica przeżegnał się i ściągnął lejce, zamierzając zwolnić. Spod ciężkich powiek obserwował niebo. Koń szarpnął łbem i parsknął w chłodne poranne powietrze.

– Jedź dalej – powiedział siedzący na wozie urzędnik.

Martin Borr był najmłodszym z królewskich urzędników, rozesłanych po kraju przez króla Wilhelma Pierwszego.

Owinął się ciasniej grubym płaszczem i przypomniał sobie treść wiadomości, zabezpieczonej woskiem, w którym odcisnięta była wielka pieczęć. Królewscy wysłannicy mieli przeprowadzić szczegółowe zliczenie ziem w całym państwie. Wszystkie dane były zapisywane sekretnym kodem po łacinie w ogromnej księdze zwanej *Domesday Book* – „Księgą zliczania”. Spis przeprowadzano w celu określenia wysokości podatków należnych królowi.

A przynajmniej tak mówiono.

Niektórzy podejrzewali, że istnieje jeszcze jeden powód tak dokładnego przeglądu ziem. Porównywali oni „Księgę zliczania” do biblijnego opisu Sądu Ostatecznego, do „Księgi życia”, w której Bóg zapisuje czyny każdego człowieka, i wkrótce wynik wielkiego przeglądu zaczęto nazywać *Doomsday Book* – „Księgą Dnia Sądu Ostatecznego”.

Było to bliższe prawdy, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Martin czytał królewski edykt i wyobrażał sobie skrybę, starannie przepisującego do wielkiej księgi zebrane przez urzędników dane. Widział, jak pisarz przy nazwach wielu miejscowości wpisuje słowo *vastare* – spustoszone.

Informowało ono, że okolica została spustoszona w wyniku wojny albo grabieży, ale dwa wpisy dokonano czerwonym atramentem. Jeden dotyczył wyspy leżącej między wybrzeżami Irlandii i Anglii. Martin udawał się do drugiego miejsca – na polecenie króla miał przeprowadzić dochodzenie na miejscu. Złożył przysięgę o zachowaniu tajemnicy i przydzielono mu do pomocy trzech ludzi, którzy jechali za wozem na koniach.

Siedzący obok Martina woźnica szarpnął lejcami i zachęcił konia – potężnego kasztana – do przyspieszenia kroku. Kiedy jechali, koła wozu najeżdżały na wijące się na drodze kruki, miażdżąc kości i rozpryskując krew.

W końcu wóz wjechał na szczyt wzgórza i w dole ukazała się zielona dolina. Pośrodku niej znajdowała się wioska – z jednej strony ograniczał ją kamienny dwór, z drugiej kościół ze spiczastą wieżą.

Pozostałe chaty i jednoizbowe domy, kryte strzechami, przypominały niskie stodoły. Wokół nich rozrzucone były owczarnie i gołębniki.

– To przeklęte miejsce, panie – powiedział woźnica. – Zapamiętaj moje słowa. To nie zaraza nawiedziła tę wioskę.

– Przybyliśmy tu właśnie po to, aby zbadać tę sprawę.

W pewnej odległości od wioski stroma droga została zablokowana przez królewskie wojsko. Nikt nie miał prawa przejść przez blokadę, nie powstrzymało to jednak rozprzestrzeniania się plotek o dziwnych zgonach.

– Przeklęte miejsce... – ponownie mruknął pod nosem woźnica, kierując wóz ku wiosce. – Słyszałem, że kiedyś te ziemie należały do Celtów. W lasach wysoko na wzgórzach ciągle jeszcze można znaleźć ich święte kamienie.

Żyłaste ramię woźnicy wyciągnęło się w stronę drzew, które porastały zbocza wznoszących się wysoko w niebo wzgórz. Unosiła się nad nimi mgła, zmieniając zieleń koron w ponurą paletę szarych i czarnych cieni.

– Proszę mi wierzyć, panie, oni przeklęli to miejsce. Sprowadzają nieszczęście na wszystkich, którzy noszą krzyż.

Martin Borr nie uznawał tego typu przesądów. Miał trzydzieści dwa lata i pobierał nauki u wybitnych uczonych z całej Europy. Przybył do tego miejsca, aby odkryć prawdę.

Odwrócił się i machnął na jeźdźców, aby go wyprzedzili, i cała trójka ruszyła cwałem w stronę wioski. Każdy znał swoje zadanie. Martin kazał woźnicy zwolnić i uważnie obserwował wszystko, co mijali. Leżąca w znajdującej się wysoko dolinie, odizolowana od świata wioska nazywała się Highglen i była znana w okolicy z wyrobów garncarskich. Używano do nich gliny wykopywanej w pobliżu gorących źródeł, które były jedną z przyczyn gromadzenia się wilgoci w powietrzu i zbierania się mgieł w wyżej położonych lasach. Mówiono, że stosowane w wiosce metody wypalania oraz skład gliny wykorzystywanej do wyrabiania naczyń są ściśle strzeżonymi tajemnicami, znanymi jedynie członkom miejscowego cechu.

Teraz ta wiedza została stracona na zawsze.

Wóz turlał się w dół doliny, mijając pola żyta i owsa, zagony fasoli i warzyw. Na niektórych polach widać było ślady niedawnych zbiorów, inne zostały spalone.

Czyżby wieśniacy zaczęli coś podejrzewać?

Po chwili ukazały się zagrody dla owiec otoczone wysokimi żywopłotami, które nie pozwalały zobaczyć, co się dzieje w ich wnętrzu. Na zarośniętych łąkach leżały setki wzdętych owczych trucheł. Bliżej wsi widać było także świnie i kozy z rozrzuconymi na boki kończynami i zapadniętymi ślepiami. W głębi pola zwałił się na ziemię potężny wół, ciągle jeszcze przywiązany do palika.

Kiedy wóz dotarł do pierwszych chat wioski, nie przywitał go żaden dźwięk. Nie zaszczekał pies, nie zapał kogut, nie zarżał osioł. Nie zadzwonił kościelny dzwon i nikt nie krzyknął do wjeżdżających między domy obcych.

Całą okolicę przygniatała ciężka cisza.

Prawdopodobnie większość mieszkańców wioski umarła w domach – byli zbyt słabi, aby wyjść na zewnątrz. Ale jeden z nich upadł twarzą do dołu tuż przy kamiennych frontowych schodach rezydencji. Leżący z rozrzuconymi na boki ramionami człowiek wyglądał, jakby potknął się na schodach i skręcił sobie kark. Nawet jednak z kozła wozu widać było, jak bardzo jest wychudzony – podobnie jak zwierzęta, które zdechły na polach. Można by pomyśleć, że wioskę bardzo długo oblegano i wzięto ją głodem.

Do wozu podjechał na koniu wysoki, pokryty bliznami mężczyzna. Miał na imię Reginald i był królewskim nadzorcą.

– Spichlerze są pełne – powiedział, wycierając dłonie w spodnie. – A w śmietnikach widziałem szczury i myszy.

Martin popatrzył na niego.

– Martwe jak wszystko inne – mruknął Reginald. – Tak samo jak na tamtej przekłętej wyspie.

– Ale teraz spustoszenie dotarło do naszych wybrzeży – stwierdził Martin. – Wkroczyło na nasze ziemie.

Właśnie dlatego ich tu przysłano, dlatego droga do wioski była zablokowana i dlatego musieli przysiąc, że zachowają tajemnicę.

– Girard znalazł ci dobre ciało, panie – oświadczył Reginald. – Świeższe niż pozostałe. Chłopiec mógł mieć jakieś osiem lub dziewięć lat. Zaniósł go do kowala – dodał, wskazując drewnianą szopę z kamiennym kominem.

Martin kiwnął głową i zszedł z wozu. Musiał się upewnić, a mógł to zrobić tylko w jeden sposób. Był to jego obowiązek – miał dowiedzieć się od zmarłych prawdy. Ale tym razem zamierzał pozostawić najbardziej krwawą część roboty francuskiemu rzeźnikowi.

Ruszył w kierunku otwartych drzwi kuźni. Girard był w środku, stał zgarbiony nad wygasłym paleniskiem. Służył w armii Wilhelma, amputując kończyny i próbując utrzymać rannych żołnierzy przy życiu.

Oczyścił już stojący pośrodku kuźni stół, rozebrał chłopca i przywiązał go do blatu. Martin popatrzył na blade, wychudzone ciało. Jego syn był mniej więcej w tym samym wieku, ale śmierć postarzyła leżącego na stole biedaka.

Kiedy Girard przygotowywał noże, Martin ścisnął czubkami palców skórę chłopca i stwierdził, że pod spodem w ogóle nie ma tłuszczu. Zbadał spękane wargi, łyse placki na głowie, opuchnięte pęciny i stopy, a potem przeciągnął dłońmi po wystających kościach.

Co tu się stało?

Zdawał sobie sprawę, że odpowiedź na to pytanie jest ukryta znacznie głębiej.

Girard podszedł do stołu z długim srebrnym nożem w dłoni.

– Będziemy zaczynać, *monsieur*?

Martin kiwnął głową.

Kwadrans później zwłoki chłopca przypominały wypatroszoną świnię. Skóra, rozplątana od krocza po gardło, została odciągnięta na boki i przybita do drewnianego stołu. Ciasno splecione wnętrzności leżały w zakrwawionej jamie brzusznej, wzdęte i różowe. Spod żeber wysuwała się na zewnątrz brązowożółta wątroba, zbyt duża jak na takie małe, wychudzone ciało.

Girard sięgnął do jamy brzusznej, a stojący po drugiej stronie stołu Martin dotknął czoła i bezgłośnie poprosił chłopca o wybaczenie. Ale było już za późno, aby chłopiec mógł mu udzielić rozgrzeszenia.

Francuz wyciągnął gumowaty biały żołądek, z którego zwisała wzdęta śledziona. Kilkoma cięciami oddzielił go od niej i położył na stole. Kolejnym ruchem ostrza otworzył żołądek i na blat – niczym z rogu obfitości – wylała się cuchnąca ciemnozielona masa nieprzeżawionego jedzenia.

Martin zakrył usta nie z powodu smrodu, ale przerażającej pewności.

– Umarł z głodu, to jasne – stwierdził Girard. – Tyle że z pełnym żołądkiem.

Martin cofnął się. Dla uzyskania ostatecznej pewności będą musieli zbadać jeszcze inne ciała, ale wszystko wskazywało na to, że śmierć tutejszych wieśniaków spowodowało to samo, co zabiło mieszkańców wyspy – drugiego miejsca oznaczonego w „Księdze zliczania” czerwonym atramentem jako „spustoszone”.

Popatrzył na ciało chłopca. Musieli zlokalizować plagę, która wtargnęła do ich ojczyzny, i zdeptać ją, zanim zdąży się rozposzechnić. Zmarłych w wiosce dopadło to samo co wyspiarzy: jedli i jedli, a mimo to umierali z głodu; zamiast się nasycić, chudli.

Poczuł, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Odwrócił się i wyszedł z cienia na słońce. Zapatrzył się na pofałdowane wzgórza pokryte bujną roślinnością. W dół zboczy spłynął wiatr, przeczesując pola jęczmienia, owsa, pszenicy i żyta. Wyobraził sobie dryfującego po oceanie człowieka, umierającego z pragnienia, otoczonego zewsząd wodą, której nie można pić.

Niczym się to nie różniło od sytuacji, jaką zastali w wiosce.

Martin zadrzał – miał ochotę znaleźć się jak najdalej od tej doliny. Nagle jego uwagę zwrócił krzyk, który rozległ się po jego prawej stronie. Przed otwartymi drzwiami jakiegoś budynku stała ubrana na czarno postać. Martin pomyślał, że widzi śmierć we własnej osobie, ale po chwili postać zamachała ręką, rozwiewając iluzję.

Był to opat Orren, ostatni członek ich grupy, głowa opactwa Kells w Irlandii. Stał obok wejścia do kościoła.

– Chodź to zobaczyć, panie! – zawołał.

Martin na niepewnych nogach ruszył w jego stronę. Nie miał ochoty wracać do kuźni, wołał zostawić martwego chłopca z Francuzem. Przeszedł przez łąkę, wspiął się na schody i dołączył do mnicha.

– O co chodzi? – zapytał.

Orren odwrócił się na pięcie i ruszył ku wejściu do kościoła.

– Jak można bezcześcić to miejsce w taki sposób! – wyrzucił z siebie. – Nic dziwnego, że wszystkich pokarała śmierć.

Martin szedł szybkim krokiem za opatem. Mnich był chudy jak szkielet i w swoim zbyt dużym habicie tak też wyglądał. Jako jedyny z nich wszystkich odwiedził wyspę u wybrzeży Irlandii i widział, co się stało z jej mieszkańcami.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – spytał Martin.

Opat bez słowa wszedł do środka prymitywnej budowli, więc Martin ruszył za nim. Wnętrze kościoła było ponure i mroczne, brakowało ławek, a klepisko pod stopami pokryte sitowiem. Jedyнным źródłem światła były dwa wysoko umieszczone w tylnej ścianie budynku okienka – dwa wąskie pasma zakurzonego powietrza padały na ołtarz wykonany z pojedynczej kamiennej płyty. Wcześniej musiała go przykrywać płachta materiału, została jednak zerwana i rzucona na podłogę – prawdopodobnie przez opata.

Orren podszedł do ołtarza i wskazał nagi kamień. Jego ramiona drżały ze wzburzenia.

– To bluźnierstwo wyrycić te barbarzyńskie symbole w domu Pana naszego!

Martin podszedł bliżej i pochylił się nad ołtarzem. Na powierzchni kamienia wryte były spirale, okręgi i symbole przypominające węzły.

– Dlaczego ci ludzie popełnili tak wielki grzech? – zapytał mnich.

– Nie sędzę, aby zrobili to mieszkańcy Highglen – odparł Martin.

Przeciagnął dłonią po ołtarzu. Czuł pod palcami, że wyryte w kamieniu znaki są mocno zwietrzałe. Musiały być bardzo stare. Przypominał sobie słowa woźnicy, że to miejsce miało szczególne znaczenie dla starożytnych Celtów, którzy w tutejszych lasach zostawili swoje gigantyczne święte kamienie.

Wyprostował się. Jeden z tych kamieni musiał zostać przywieziony do Highglen i użyty do budowy ołtarza w wiejskim kościele.

– Jeżeli nie zrobili tego tutejsi ludzie, jak to wyjaśnisz, panie? – spytał opat.

Podszedł do ściany za ołtarzem i zatoczył ramieniem łuk, wskazując znajdujący się na niej wielki znak. Musiano go namalować całkiem niedawno, a sądząc po czerwonobrazowym kolorze, prawdopodobnie wykonano go krwią. Był to okrąg przecięty krzyżem.

Martin widywał podobne symbole na nagrobkach i w starożytnych ruinach.

Był to święty znak celtyckich kapłanów.

– Pogański krzyż – mruknął.

– Taki sam namalowano na drzwiach wszystkich domów na wyspie – powiedział opat.



– Ale co ten krzyż może oznaczać?

Opat dotknął srebrnego krucyfiks na swojej szyi.

– Jest tak, jak obawiał się król... Węże, które nękały Irlandię i zostały wypędzone przez świętego Partyka, przybyły teraz do tych wybrzeży.

Martin wiedział, że opat nie ma na myśli węży żyjących na polach, ale pogańskich kapłanów, którzy mieli laski z pozwijanych jak węże gałęzi – druidzkich przywódców starożytnych Celtów.

Wprawdzie święty Patryk nawrócił większość pogan w Irlandii, a resztę wypędził, było to jednak sześć wieków temu.

Martin odwrócił się i wyjrzał przez otwarte drzwi kościoła. W głowie huczały mu słowa Girarda: „Umarł z głodu... z pełnym żołądkiem”.

Nie miało to żadnego sensu.

– To wszystko trzeba spalić – stwierdził stojący za jego plecami opat. – A ziemię posypać solą.

Martin kiwnął głową, jednak w jego sercu zaczął narastać niepokój. Czy jakikolwiek ogień potrafi zniszczyć to, co dokonało tutaj takiego spustoszenia? Miał co do tego wątpliwości, ale jednego był pewien.

Ich problem nie został jeszcze rozwiązany.

Watykan

Czasy współczesne

8 października, godzina 23.55 czasu miejscowego

Ojciec Marco Giovanni ukrywał się w ciemnym kamiennym lesie.

Potężne marmurowe kolumny podtrzymywały kopułę Bazyliki Świętego Piotra i dzieliły jej wnętrze na kaplice, krypty i wnęki. Świątynię wypełniały dzieła wielkich mistrzów: *Pieta* Michała Anioła, baldachim nad grobem świętego Piotra wykonany przez Berniniego, figura świętego Piotra na tronie.

Marco wiedział, że nie jest w tym kamiennym lesie sam. Czyhał tu na niego myśliwy – prawdopodobnie gdzieś w głębi budynku.

Przed trzema godzinami otrzymał wiadomość od kolegi archeologa, który również służył Kościołowi, swojego byłego mentora

na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Dokładnie o północy mieli się spotkać w bazylice.

Okazało się to jednak pułapką.

Oparty plecami o kolumnę Marco przyciskał prawą dłoń do rany pod lewą pachą, próbując powstrzymać krwawienie. Jego bok był rozplątany aż do żeber i po palcach spływała gorąca krew. W lewej dłoni trzymał starożytną skórzaną sakiewkę nie większą od portmonecki. Ścisnął ją tak mocno, jakby od tego zależało jego życie.

Kiedy się nieco przesunął, aby spojrzeć w głąb nawy, krew pociekła obficie i spryskała marmurową podłogę. Jeśli szybko czegoś nie postanowi, osłabnie tak bardzo, że nie będzie mógł iść. Z bezgłośną modlitwą na ustach odepchnął się od kolumny i ruszył ciemną nawą w kierunku papieskiego ołtarza. Każdy krok był jak nowe dźgnięcie w bok. Nie został jednak uderzony nożem, lecz strzałą – po zranieniu go wbiła się w jedną z sąsiednich kościelnych ławek. Była krótka, masywna i czarna. Stalowy bełt kuszy. Marco dobrze mu się przyjrzał ze swojej kryjówki. Paliła się na nim mała czerwona dioda, która wyglądała w ciemności jak płonące oko.

Szedł szybkim krokiem, starając się jak najniżej trzymać głowę. Wiedział, że prawdopodobnie zginie, ale sakiewka, którą ścisnął w ręce, była ważniejsza od jego życia. Musi dotrzeć do wyjścia po przeciwległej stronie, znaleźć kogoś z żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej i przekazać wiadomość Stolicy Apostolskiej.

Zaczął biec, nie zważając na ból i strach.

Ołtarz papieski był dokładnie na wprost niego. Unoszący się nad nim zaprojektowany przez Berniniego baldachim z brązu opiera się na czterech kolumnach o skręconych trzonach. Marco skierował się w lewo, ku nawie poprzecznej przecinającej nawę główną. Po chwili zobaczył monumentalny pomnik Aleksandra VII i znajdujące się obok drzwi.

Wyście na Piazza Santa Marta.

Gdyby...

Uderzenie w brzuch odrzuciło go do tyłu.

Marco spojrział w dół. Nie został trafiony pięścią. Z jego koszuli wystawał stalowy trzpień z plastikowymi piórami. Ból nadszedł sekundę później, rozchodząc się gwałtownie na wszystkie strony. Tak samo jak na poprzednim bełcie, także i na tym jarzyło się czerwone oko. Dioda była umieszczona pośrodku sześcianu znajdującego się przy tępych końcu strzały.

Marco zatoczył się do tyłu. Cienie przy drzwiach przesunęły się i ukazały postać w wielobarwnym stroju żołnierza Gwardii Szwajcarskiej – z pewnością był to przebrany napastnik. Skrytobójca opuścił kuszę i wyszedł z osłoniętego przejścia, w którym czekał na swoją ofiarę.

Marco wrócił do ołtarza, zamierzając uciec główną nawą, ale ujrzał w niej kolejnego mężczyznę w mundurze szwajcara, który pochylił się nad ławką i wyszarpnął z niej bełt.

Przerażony Marco odwrócił się w stronę prawego transeptu, jednak i tym razem jego plany zostały pokrzyżowane – z cienia konfesjonau wyszła trzecia postać i uniosła kuszę.

Został złapany w pułapkę.

Bazylika była zbudowana na planie krzyża, a trzy jego ramiona zostały zablokowane przez skrytobójców. Marco mógł jedynie pobiec w stronę apsydy, stanowiącej trzon krzyża – ale był to ślepy zaułek.

Przed nim wznosił się ołtarz zwany katedrą Świętego Piotra – potężny złożony monument, otoczony świętymi i aniołami, w którego wnętrzu umieszczono drewniany tron, używany ponoć przez samego świętego Piotra. Powyżej znajdował się witraż przedstawiający Ducha Świętego jako gołębia.

Okno witrażowe było jednak zbyt wysoko.

Marco odwrócił się i rozejrzał. Z lewej miał grobowiec Urbana VIII. Nad marmurową płytą wznosiła się rzeźba przedstawiająca szkielet – było to wyobrażenie Ponurego Żniwiarza, przypominające człowiekowi jego ostateczne przeznaczenie.

– *Lilium et Rosa* – wyszeptał Marco po łacinie.

Lilia i róża.

W XII wieku irlandzkim świętemu o imieniu Malachiasz ukazali się wszyscy papieże – od współczesnych mu czasów aż do końca świata. Zgodnie z proroctwem miało ich być stu dwunastu. Każdemu z nich Malachiasz przypisał tajemnicze określenie. Urbana VIII, który urodził się pięć wieków po jego śmierci, nazwał „lilią i różą”. Jak w przypadku wszystkich innych papieży, także i to proroctwo okazało się trafne: Urban VIII urodził się we Florencji, której herbem jest czerwona lilia.

Najbardziej niepokoiło jednak to, że obecny papież był na liście świętego Malachiasza przedostatni. Według przepowiedni następna głowa Kościoła katolickiego miała być świadkiem końca świata.

Do tej pory Marco nie wierzył w takie proroctwa – teraz jednak, ściskając w dłoni skórzaną sakiewkę, zastanawiał się, jak blisko Armagedonu znalazła się ludzkość.

Usłyszał kolejne kroki – zbliżał się do niego jeden ze skrytobójców. Nie pozostało mu już zbyt wiele czasu.

Szybko zrobił to, co zaplanował. Przyciskając dłonią ranę, aby nie pozostawiać krwawych śladów, odszedł na bok, żeby schować to, co musiało zostać uratowane. Kiedy plan został wykonany, wrócił do apsydy, opadł na kolana i z rezygnacją czekał na śmierć. Kroki zbliżyły się do ołtarza i po chwili pojawiła się przed nim ciemna postać. Mężczyzna stanął i rozejrzał się.

Nie był to żaden z zabójców.

Nie był to także nikt obcy.

Kiedy Marco jęknął, zaskoczony mężczyzna znieruchomiał na moment, a potem szybko podszedł do niego.

– Marco?

Zbyt słaby, aby wstać, Marco mógł jedynie patrzeć na przybysza, zawieszony między nadzieją i podejrzeniem. Ale mężczyzna był wyraźnie zatroskany.

– *Monsignore* Verona... – wymamrotał Marco, odrzucając na bok podejrzenia. W głębi serca wiedział, że ten człowiek nigdy by go nie zdradził.

Uniósł ramię i wyciągnął w górę pustą dłoń. Drugą ręką ścisnął pasek, tkwiący cały czas w jego brzuchu.

Kiedy błysnęło światło, spojrzął w dół. Czerwona dioda na belce nagle zrobiła się zielona.

Nie...

Eksplozja rzuciła Marca kilka metrów do tyłu. Gdy sunął po marmurowej podłodze w smudze gęstego dymu, zostawiał za sobą szerokie pasmo krwi i wylewających się z brzucha wnętrzności. W końcu przewrócił się na bok u stóp ołtarza. Po raz ostatni spojrzął na górujący nad nim połączony monument.

Petrus Romanus.

Piotr Rzymianin.

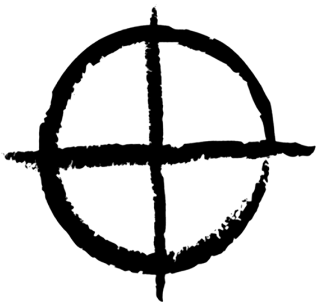
Tak brzmiało ostatnie imię na proroczej liście świętego Malachiasza – imię następcy obecnego Ojca Świętego, który miał być ostatnim papieżem na świecie.

Ponieważ Marco zawiódł, nic już nie powstrzyma końca.

Przed oczami rannego zaczęła zapadać ciemność. Głuchł. Nie miał siły mówić. Leżał na boku i patrzył na grobowiec papieża Urbana VIII oraz wychodzący z płyty brązowy szkielec. Na jego kościstych palcach zawiesił sakiewkę, której tak długo pilnował. Miał przed oczami prastary znak wypalony na jej boku.

Był on jedyną nadzieją dla ludzkości.

Tracąc oddech, Marco modlił się, aby to wystarczyło.





Wtorek, 5 maja – do natychmiastowej publikacji

VIATUS STAWIA SOBIE ZA CEL GLOBALNE ZABEZPIECZENIE ZASOBÓW ŻYWNOSCI

OSLO, NORWEGIA (BUSINESS WIRE) – Viatus International, światowy lider na rynku wyrobów petrochemicznych, ogłosił w dniu dzisiejszym utworzenie Działu Badań i Rozwoju Biogenetyki Roślin Uprawnych.

„Zadaniem nowego działu jest opracowywanie technologii, które na tyle zwiększą wydajność upraw rolnych, że zostanie zaspokojony globalny popyt na żywność, pasze i paliwa – oświadczył Ivar Karlsen, dyrektor generalny korporacji Viatus. – Dzięki niemu będziemy mogli stawić czoła temu wyzwaniu, stworzyć rolniczy ekwiwalent projektu Manhattan”.

W ostatnich latach opatentowane przez korporację Viatus technologie z zakresu hybrydyzacji i transgeniki pozwoliły zwiększyć zbiory zbóż, kukurydzy i ryżu o 35 procent, a w ciągu kolejnych pięciu lat przewiduje się nawet ich podwojenie.

Karlsen wyjaśnił konieczność utworzenia nowego działu firmy podczas przemówienia, które wygłosił na Światowym Szczycie Żywnościowym w Buenos Aires. Według danych

Światowej Organizacji Zdrowia jedna trzecia światowej populacji głoduje. „Jesteśmy w globalnym kryzysie żywnościowym – powiedział. – Większość cierpiących głód to mieszkańcy Trzeciego Świata. Zamieszki wywołane brakiem żywności obejmują coraz to nowe rejony świata i dodatkowo destabilizują niebezpieczne regiony”.

Stwierdził też, że należące do największych zagrożeń tysiąclecia niedobory żywnościowe są znacznie gorsze od problemów z niedoborem ropy naftowej i wody. „Zwiększenie produkcji żywności za pomocą nowych metod upraw i biotechnologii ma zasadnicze znaczenie zarówno z humanitarnego punktu widzenia, jak i ze względu na troskę o globalne bezpieczeństwo” – oświadczył.

Lider w zakresie innowacji rolniczych, Viatus International, ma siedzibę w Oslo i znajduje się na liście 100 największych firm świata opublikowanej przez czasopismo „Fortune”. Założona w 1802 roku firma Viatus dostarcza swoje produkty do 180 krajów świata, poprawiając poziom życia ich mieszkańców. Na nowojorskiej giełdzie oznaczona jest symbolem VI. Nazwa Viatus pochodzi od dwóch łacińskich słów: *via* – droga i *vita* – życie.

1

Mali, Afryka Zachodnia

9 października, godzina 4.55 czasu miejscowego

Z głębokiego jak otchłań snu wyrwała Jasona Gormana strzelanina. Potrzebował pół sekundy, aby przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Śniło mu się, że pływa w jeziorze na północ od Nowego Jorku, nad którym jego ojciec miał letni dom. Otaczająca połowe łóżko moskitiera i chłód pustynnego przedświtów szybko przywołały go do rzeczywistości.

Dobiegające z zewnątrz krzyki przeraziły go.

Z łomoczącym sercem jednym ruchem nogi odrzucił prześcieradło i rozsunał moskitierę. W namiocie Czerwonego Krzyża było ciemno, ale migotanie za jedną z zewnętrznych płóciennych ścian świadczyło o tym, że gdzieś we wschodniej części obozu dla uchodźców coś się pali. Ogień musiał się szybko rozprzestrzeniać, bo po chwili czerwonawe plamki zatańczyły na wszystkich czterech ścianach namiotu.

Boże...

Dobrze wiedział, co się dzieje – poinformowano go o podobnych incydentach, zanim został wysłany do Afryki. W ubiegłym roku oddziały Tuaregów często atakowały obozy dla uchodźców i rabowały znajdującą się w nich żywność. Kiedy w Republice Mali ceny ryżu i kukurydzy trzykrotnie wzrosły, stolicę państwa sparaliżowały

rozruchy. W północnych dystryktach żywność była na wagę złota. Trzem milionom ludzi groził głód.

Właśnie dlatego Jason Gorman przybył do tego kraju.

Jego ojciec sponsorował finansowany przez korporację Viatus i nadzorowany przez biologów oraz biogenetyków z Uniwersytetu Cornella projekt eksperymentalnego gospodarstwa rolnego zajmującego dwadzieścia pięć hektarów na północ od obozu dla uchodźców. Na spalonych słońcem polach rosła genetycznie zmodyfikowana kukurydza. W ubiegłym tygodniu zebrano pierwsze plony, mimo że do podlewania upraw zużyto zaledwie jedną trzecią wykorzystywanej normalnie wody. Informacja o tym musiała dotrzeć do niepowołanych osób.

Jason boszo wyskoczył z namiotu. Miał na sobie bermudy w kolorze khaki i luźną koszulę, w których położył się wieczorem do łóżka. Jedyne źródłem światła były palące się gdzieś na skraju obozu zabudowania.

Oznaczało to, że ktoś zniszczył generatory.

W ciemności głośnie echem odbijały się serie z broni maszynowej i krzyki. Dookoła kłębiły się cienie – byli to uciekający w panice uchodźcy. Wystrzały ze strzelb i serie z broni maszynowej padały ze wszystkich stron, więc nikt nie wiedział, w którą stronę biec.

Ale Jason wiedział.

Krista na pewno jest w ośrodku badawczym. Poznał ją w Stanach trzy miesiące temu – podczas odprawy przed wyjazdem, jednak dopiero miesiąc temu zaczęła dzielić z nim łóżko. Tej nocy spał sam, bo Krista zamierzała dokończyć oznaczanie DNA zebranej właśnie kukurydzy.

Musi do niej dotrzeć.

Biegąc pod prąd, kierował się na północ obozu. Tak jak się obawiał, strzelanina i pożary były tam najintensywniejsze. Prawdopodobnie rebelianci zamierzali splądrować magazyny kukurydzy. Dopóki nikt nie będzie próbował ich powstrzymać, nikomu nic się nie stanie. Niech sobie zabierają tę kukurydżę. Kiedy opróżnią magazyny

ny, znikną w ciemnościach tak samo szybko, jak się pojawili. I tak zamierzano zniszczyć zebrane plony. Dopóki nie zostaną zakończone dodatkowe badania, kukurydza nie mogła być przeznaczona do spożycia.

Jason skręcił za róg i potknął się o leżące między rozpadającymi się chatami ciało nastolatka z rozrzuconymi na boki rękami. Chłopak został zastrzelony i zdeptany. Jason odpełził od ciała, wstał i pobiegł dalej.

Po kolejnych stu metrach dotarł do północnego krańca obozu.

Wszędzie leżały trupy, w niektórych miejscach były ich całe sterty – mężczyźni razem z kobietami i dziećmi. Wiele ciał było przeciętych na pół seriami z broni maszynowej. Znajdujące się za tym polem śmierci blaszane baraki działu badawczego wyglądały jak zacumowane na zachodnioafrykańskiej sawannie ciemne statki. Nie paliły się w nich światła – jedynie wokół migotały płomienie.

Krista...

Jason zatrzymał się gwałtownie, sparaliżowany przerażeniem. Chciał biec dalej, pokonać tchórzostwo, ale nie był w stanie się poruszyć. Do oczu napłynęły mu łzy rozpacz.

Za jego plecami rozległo się głośne mechaniczne dumb-dumb-dumb. Odwrócił się i ujrzał dwa lecące nisko nad ziemią helikoptery, kierujące się prosto na obóz. Prawdopodobnie byli to żołnierze z pobliskiej bazy wojskowej. Viatus International nie liczyła się z kosztami, kiedy chodziło o zapewnienie bezpieczeństwa pracownikom firmy.

Jason odetchnął z ulgą. Helikoptery na pewno odpędzą rebeliantów. Nieco uspokojony, ruszył przez pole, ale w dalszym ciągu biegł mocno pochylony. Jego celem był znajdujący się nie więcej niż sto metrów od niego blaszany barak. Ukryje się tam w głębokim cieniu – laboratorium było w sąsiednim baraku.

Modlił się, żeby Krista nigdzie nie wychodziła.

Kiedy dotarł do tylnej ściany baraku, za jego plecami rozbłysło jaskrawe światło. Umocowany na dziobie prowadzącego helikoptera reflektor zaczął przeszukiwać teren obozu.